

## **Dariusz Gawin: Słonimski - rogaty liberał**

Słonimski przez kilkadziesiąt lat wpływał na kształt sposobu myślenia znacznej części polskiej inteligencji



**Słonimski przez kilkadziesiąt lat wpływał na kształt sposobu myślenia znacznej części polskiej inteligencji - szkic pochodzi z książki *Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku* wydanej przez Ośrodek Myśli Politycznej**

W 1975 roku Antoni Słonimski, obchodzący wówczas osiemdziesiąte urodziny, tak mówił o sobie w rozmowie z Jakubem Karpińskim: „Jestem *political minded*. Znaczna większość ludzi nie interesuje się w ogóle polityką. Moje pisarstwo jest pewnego rodzaju pieniactwem. Kłóciłem się o mnóstwo spraw, w różnych ustrojach. Staram się, aby to, co piszę, towarzyszyło temu, co się wokół nas dzieje. Trzeba podtrzymywać stan gotowości. Sprzeciwiać się kłamstwu – to wcale nie jest program minimalny. Na kłamstwie zbudowano zbyt wiele”. Rzeczywiście ten „rogaty liberał” – jak można go nazwać, parafrazując tytuł poświęconej mu książki Adolfa Rudnickiego, zaliczał się z całą pewnością do gatunku „zwierząt politycznych”. Udało mu się jednak przy tym osiągnąć pozycję nieskończenie ważniejszą niż ta, jaką osiągają nawet najlepsi publicyści. Ten prześmiewca obdarzony wyjątkowym poczuciem humoru, pełnił zarazem rolę niekwestionowanego autorytetu moralnego.

Przez kilkadziesiąt lat wpływał na kształt sposobu myślenia znacznej części polskiej inteligencji. Jan Józef Lipski przyznał kiedyś, że o wielu sprawach społecznych i moralnych myślał zawsze „fragmentami tekstów Słonimskiego”. To dlatego właśnie tytuł swego głośnego tekstu „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”, krytykującego nacjonalistyczny model patriotyzmu, zaczerpnął z przedwojennego wiersza Słonimskiego. Podobnie postąpił Władysław Bartoszewski, gdy w 1963 roku użył tytułu wiersza „Ten jest z ojczyzny mojej” jako hasła słynnej ankiety rozpisanej na łamach „Tygodnika Powszechnego”, której celem było zebranie relacji Polaków pomagających w czasie okupacji Żydom.

Słonimski sam siebie określał jako pisarza lewicowego. Pojęcie lewicy należy jednak w tym przypadku rozumieć dosyć szeroko. Choć do końca życia Słonimski trzymał na swoim biurku obok podobizny Mickiewicza, także zdjęcia Piłsudskiego i Żeromskiego, jego lewicowość różniła się istotnie od lewicowości pokolenia jego ojca, u którego w mieszkaniu przed I wojną światową spotykali się działacze PPS-u. Nie miała ona charakteru ściśle określonego programu politycznego, dla urzeczywistnienia którego niezbędne było działanie w ramach partyjnych struktur. Brak precyzji programowej, którą z konieczności wymuszają partyjne struktury, pozwalał na połączenie w tak szerokim ideale lewicowości, wrażliwości społecznej z dziedzictwem XIX-wiecznego demokratyzmu i liberalizmu. Wrażliwość społeczna traciła w tym połączeniu swój ostry i bezkompromisowy rys klasowy. Jej przeciwnikiem nie była już tylko „reakcja” lecz każdy atak na ludzką godność. Wedle tego sposobu myślenia pisarz lewicowy to ktoś, kto zwalcza wszelkie przejawy nienawiści, szowinizmu, walki klasowej, nietolerancji, rasizmu, dominacji jednych nad drugimi i kłamstwa.

To przesunięcie akcentów w definicji lewicowości wymuszone zostało w przypadku pokolenia Słonimskiego przez zmianę historycznego kontekstu. Marzenie socjalizującego pokolenia Żeromskiego zostało zrealizowane – wywalczone niepodległość. Moralne piękno walki, w której wrażliwość na krzywdę ludzką łączyła się z wolnościowym heroizmem, już nie było ani możliwe ani potrzebne. Nadciągały nowe zagrożenia. Lata trzydzieste to czas, w którym nienawiść stawała się powszechną namiętnością polityczną. Słonimski w swoich przedwojennych „Kronikach tygodniowych” walczył zatem na wszystkich frontach. We wstępie do zbioru *Moje boje nad Bzdurą* pisał, że owa tytułowa, wyimaginowana rzeka, nad którą prowadził swoją „wojnę domową”, zasilana jest przez dopływy zarówno z lewej jak i z

prawej strony. Pisał zatem protesty w sprawie Brześcia, kpił z młodzieży „obwiepolskiej”, z bojówkarzy endeckich, którzy mieli „długie pałki i krótki rozum”. Kiedy z kolei Aleksander Wat wydał pierwszy numer komunistycznego „Miesięcznika Literackiego”, szydził, że pojawiła się „wata” do tamowania myśli.

A jednak nie można mówić o równym dystansie lewicowej inteligencji w stosunku do zagrożeń tamtego czasu. Choć w manichejskiej rzeczywistości lat trzydziestych zło zdawało się czaić ze wszystkich stron – zło, czyli kłamstwo i przemoc, całkowite jego odrzucenie nie wydawało się możliwe. Jakkolwiek strasznie brzmi to dzisiaj, z perspektywy półwiecza, sam fakt używania przemocy nie był dla większości intelektualistów w tamtych czasach decydującym czynnikiem w osądzaniu stron politycznych zmagających epoki. Ta przerażająca prawda w równym stopniu dotyczy Ezry Pounda jak i Jean Paul Sartre’a.

Widać to wyraźnie w tekstach z lat trzydziestych. Ponieważ pisano je przed Katyniem i Oświęcimiem, ich szczerości nie deformowała ani cenzura PRL-ska, ani też autocenzura wynikająca z uświadomienia sobie w momencie wyzwania się „zniewolonych umysłów” z pęt totalizmu skali historycznej katastrofy, w której brało się udział. W przypadku Słonimskiego takim tekstem jest jego *Podróż do Rosji*, wydana w 1932 roku. Ten literacki reportaż, z oczywistych względów skrętnie pomijany po wojnie w planach wydawniczych, doskonale pokazuje rozterki lewicowej inteligencji z lat 30.

Słonimski jest przenikliwym obserwatorem codziennego życia sowieckiego – w wielu migawkach dokumentuje całą nędzę sowieckiej rzeczywistości. Opisuje zatem uwłaczającą ludzkiej godności egzystencję w atmosferze „swądu istotnego i moralnego”, na jaką skazani są lokatorzy w moskiewskich mieszkaniach komunalnych, w których po kilka rodzin używa wspólnej kuchni i ubikacji, szpiegując się nawzajem i kłócąc bezustannie. Mamy tam również świetną scenę, gdy w pociągu, w którym jechał z delegacją gości z zachodu, jakiś Amerykanin z rozpaczliwym samozaparciem jadł cuchnącą breję, podaną jako kotlet, udając, że mu to „coś” bardzo smakuje. Jakżeby bowiem mógł jemu, amerykańskiemu socjaliście, nie smakować posiłek w sowieckim wagonie restauracyjnym? Opisuje także wszechobecną „nędzę ubraniową”, brud, strach przed terrorem, szpicli GPU, kolejki po chleb, nieszczęśliwe twarze, brednie, które wygadują jego przewodnicy.

Jednocześnie jednak wiele rzeczy w Rosji mu się zdecydowanie podoba. Może kluczowa dla zrozumienia przyczyn, dla których ludzie lewicy z pokolenia Słonimskiego nie potrafili oprzeć się „fatalnemu zauroczeniu” komunizmem, pomimo pełnej świadomości jego totalitarnej natury (to właśnie zasadniczo różniło ich od Żeromskiego), jest scena, gdy opisuje on swoją wizytę w moskiewskim „Parku Kultury i Otdycha”. Zobaczył w nim tysiączne tłumy młodzieży wypełniające wielkie czytelnie, pokoje do gry w szachy, koncerty na wolnym powietrzu, sale odczytowe i zbiorową naukę tańca, a wszystko to przesycone wszechobecnym kultem nauki i wiedzy. Wielu badaczy przeszłości, powodowanych raczej chęcią pospiesznej demaskacji wszelkich przejawów lewicowych zboczeń, a nie chęcią rozumienia przeszłości, zwykle widzi w takich świadectwach dowód na niskie pobudki, które popychać miały lewicowych inteligentów do komunizmu. Nic bardziej błędnego. Komunizm budując pałace dla

kultury i nauki, domy pracy twórczej, wydając klasyków w milionowych nakładach nie tyle korumpował, ile skutecznie uwodził intelektualistów.

W przypadku lewicowych inteligentów nie liczyło się jednak tylko to, ku czemu popychało ich „fatalne zauroczenie”, lecz również to, co ich we własnej rzeczywistości odpychało. Chodzi o niechęć, o obrzydzenie, a często wręcz i nienawiść, jaką odczuwano w stosunku do kapitalizmu i jego mieszczańskiej kultury. Doświadczenie wojny zasadniczo i nieodwołalnie ukształtowało post factum pamięć o latach trzydziestych. Hitler i rozpętana przez niego światowa apokalipsa sprawiła, że z powojennej perspektywy głównym czynnikiem tłumaczących proces dochodzenia do komunizmu stał się faszyzm. Niejasne wspomnienia o dawnej odrazie do kapitalizmu (obecnej na przykład jeszcze w okupacyjnej korespondencji Miłosza z Andrzejewskim), jako drugim czynnikiem warunkującym ideową ewolucję lewicowej inteligencji z lat trzydziestych, został wyparty z pamięci i zepchnięty w najgłębsze i najbardziej niedostępne jej zakamarki. Posłuchajmy komentarzy, którymi w 1932 roku opatrywał Słonimski swój opis „Parku Otdycha” – patrząc na komsomołkę Zinę objaśniającą z wielkim entuzjazmem wzrost uprzemysłowienia Związku Radzieckiego, mówił do siebie: „Ta dziewczyna nie myśli cały dzień, jakby skopiować model od Lucyny i głównym jej zmartwieniem nie jest, że jakaś Pindzia ma modniejsze futro. Powaga stosunku do życia, zrozumienie walki o socjalizm i brak obłudy seksualnej – wszystko to nadaje młodzieży szlachetność i zupełnie swoisty wdzięk. Nie ma w Rosji hołoty młodzieżowej zapełniającej dancingi, plotkującej i grającej w bridża. Te kategorie, które się już znudziły w świecie kapitalistycznym, tu w ogóle nie istnieją”. Po tej młodzieży znać kult nauki i pracy – to dlatego w parku próżno by szukać „bud jarmarcznych i głupich atrakcji, jakich pełno w naszych Luna-Parkach czy Magic-

City”. Nie ma też w nim aparatów do wróżenia przyszłości, automatów z pornograficznymi fotografiami ani loteryjek, na których wygrywa się gliniane świnki. Kapitalistyczne społeczeństwo i jego mieszczańska kultura przeżarte są fałszem i brakiem autentyzmu. Słonimski z gorącością pisze: „U nas w Europie zawiera się pakty, w które się nie wierzy, dziennikarz bez wiary napada i bez wiary wychwala”, kupiec robi transakcje, w które nie wierzy, bankier nie wierzy w pieniądź, urzędnik w celowość swego urzędowania a robotnik w sens swojej pracy. Prawda, cały świat, jak pisze, jest chory. Jednak kryzys na zachodzie – można porównać do cierpienia „na własnych betach, ze szklanką herbaty na nocnym stoliku i starym romanssem pod poduszką. Łykamy różne świństwa, które nam zapisują znachorzy i przewracamy się z lewego boku na prawy”. Tu w Rosji natomiast chory leży na stole operacyjnym i poddają go zabiegom chirurgicznym bez znieczulenia. Wątpliwości rodzi nie sam ich fakt, lecz, jak pisze – wątpliwa precyzja z jaką się je dokonuje. Jeśli jednak ten zabieg się powiedzie, „przyniesie on światu prawdziwe zdrowie”.

Poparcie dla socjalizmu w wersji Kraju Rad jest jednak w przypadku Słonimskiego, w przeciwieństwie do Broniewskiego, Stawara czy Wata, pełne wahań i rozterek. W końcowym rozdziale książki, opisuje swoją ostatnią noc w Rosji w przedziale pociągu jadącego do Polski, którą spędził na czynionym gorączkowo rachunku sumienia. Wie przecież, że na każdym piszącym o Rosji sowieckiej ciąży szczególna odpowiedzialność za każde słowo. Zdaje sobie sprawę z całego ucisku, kłamstwa i nędzy, które widział na własne oczy. A jednak wyznaje: „nie mam władzy sądenia”. Tok narracji rozbija się na wymaginowaną dyskusję pomiędzy Sceptykiem i Entuzjastą. W tej wymianie zdań, w której ściera się z jednej strony wizja Sowietów jako nadziei wszystkich krzywdzonych, z drugiej zaś wizja rewolucji, jako źródła nowej klasowej nienawiści, decydująca jest uwaga rzucona przez Entuzjastę: „Być

może, w dążeniach rewolucyjnych jest uczucie zemsty i nienawiść, ale gdyby wyrzec się dynamiki tych uczuć, nie byłoby postępu, nie byłoby rewolucji francuskiej” – rewolucja jest gwałtowna, lecz jej gwałtowność jest gwałtownością burzy, która odświeża powietrze. A dzisiaj, jak dopowiada Entuzjasta, trudno jest oddychać w Europie. Dlatego ostatecznie Słonimski deklaruje, pozbawione entuzjazmu, swoje poparcie dla dzieła rewolucji. Brak mu entuzjazmu, ponieważ jak pisze, jest raczej człowiekiem starej daty, i nad ideały rewolucyjne przedkłada dawne wartości liberalnego świata XIX wieku. A jednak – „jeśli muszą przyjść rewolucje i tylko tym starym barbarzyńskim pługiem można orać ziemię pod nowy zasiew, i my przy tym będziemy. Bez oślepiającej, żarliwej wiary, bez entuzjazmu, który przysłania dwoistość i względność rzeczy ludzkich, będziemy bronili od pohańbienia wartości, bez których żyć na świecie nie warto. Zrobimy wszystko, aby przyszła rewolucja nie była tak krwawa i barbarzyńska jak dawne rewolucje” – broniąc dobroci i wyrozumiałości, sceptycyzmu, bez którego nie ma prawdziwej twórczości, aby uczynić rewolucję „mniej ślełą i straszną”.

Zdanie o „dynamice nienawiści” streszcza w sobie bolesną prawdę o epoce, która w historii naszego kontynentu rozpoczęła się w 1789 roku, a skończyła się na naszych oczach, dokładnie dwieście lat później w 1989 roku – epoce nowoczesności, u początków której leżał akt rewolucji. To właśnie ona uruchomiła „dynamikę zemsty i nienawiści” – najpierw rewolucyjnej, potem kontrrewolucyjnej. Choć była ona wielkim aktem emancypacji człowieka, od samego początku towarzyszyła jej przemoc. Od tamtej pory historia Europy toczyła się wedle konwulsyjnego rytmu, w którym tempo wydarzeń dyktował konflikt syjamskiego rodzeństwa zrodzonego latem 1789: postępu i reakcji. Przemoc była dla ludzi uczestniczących w tym procesie oczywistym i zrozumiałym narzędziem osiągnięcia swoich celów. Każda ze stron miała swoje argumenty, tłumaczące konieczność jej użycia.

Słonimski jako przekonany pacyfista o lewicowych i liberalnych przekonaniach piętnuje wszelką przemoc w służbie rasowej i narodowej nienawiści, ponieważ służy ona nietolerancji i szowinizmowi, a jednocześnie z bólem, z wahaniem, godzi się na konieczność używania przemocy, jeśli służyć ma ona postępowi, czyli sprawie ogólnoludzkiego braterstwa. Autorzy „Prosto z mostu” mogli się w niczym nie zgadzać ze Słonimskim, jednak wielu z nich także przyjmowało za pewnik nie podlegający dyskusji ogólną diagnozę, że świat był chory, i wobec tego trzeba go poddać bolesnej operacji chirurgicznej – różnili się co do wyboru miejsca, w którym należy przyłożyć skalpel i opinią, co trzeba pacjentowi wyciąć, aby powrócił do zdrowia.

Zdanie, w którym Entuzjasta Słonimskiego mówi, że bez dynamiki nienawiści nie byłoby rewolucji francuskiej pozwala jednocześnie zrozumieć pułapkę jaką dla liberalnej i lewicowej inteligencji stał się komunizm. Francois Furet w swej znakomitej *Historii pewnego złudzenia* pokazał mechanizm ideowego szantażu, jakiego z powodzeniem użyli komuniści w stosunku do sił postępu. Wystarczyło mianowicie udowodnić, że rewolucja bolszewicka stanowi dopełnienie rewolucyjnej dynamiki uruchomionej w 1789 roku, że przynosi ona możliwość autentycznej realizacji oświeceniowych ideałów emancypacji człowieka, które w pół drogi porzuciła poprzednia, burżuazyjna rewolucja. Gdy udało im się to wmówić lewicy zachodniej, sytuacja ludzi, którzy deklarowali się jako zwolennicy postępu i zarazem antykomuniści stała się niezwykle trudna. Komunizm kradł marzenia lewicy – choćby te o „szklanych domach” i z zagrabionym kapitałem ideowym siadał do licytacji, w której stawką była ideologiczna czystość.

W tej perspektywie zrozumiąły stać się powojenny akces Słonimskiego do komunizmu. Decyzje lewicowej inteligencji z tamtego okresu tłumaczy się często strachem lub zimną kalkulacją. Jeśli strach odgrywał rolę w podejmowaniu decyzji o udziale w stalinowskim życiu publicznym, to nie był to jednak zwykły strach ofiary – Słonimski wrócił przecież w 1951 roku z Londynu, gdzie pracował jako dyrektor Instytutu Kultury Polskiej, całkiem dobrowolnie. W tym samym roku Miłosz, attaché kulturalny ambasady polskiej w Paryżu, „wybrał wolność”. Jeśli już można mówić o strachu, to był to chyba lęk przed życiem bez Warszawy, którą kochał uczuciem szczerym i stałym całe swoje życie. Kalkulacja? – być może, bo dla pisarza obecność wśród czytelników jest czymś bardzo ważnym. Wydaje się jednak, że decydującym czynnikiem było ciągle jeszcze tłące się gdzieś w jego – jak pisał przed wojną w wierszu „Niecierpliwie” – „sercu nierozumnym” zauroczenie wiarą w postęp, nawet jeśli musiał on być okupiony cierpieniem społeczeństwa poddanego bolesnej operacji.

Ostatnich dwadzieścia lat życia Słonimskiego zawartych pomiędzy latami 1956-1976 to czas jego walki z modelem socjalizmu, który złączony był ściśle z przemocą, walki, dzięki której na powrót odzyskał w oczach szerokich kręgów inteligencji pozycję moralnego autorytetu. Począwszy od lat 50. lewica w całej Europie oddalała się stopniowo od komunizmu. Początek lat 70. to czas, gdy pod wpływem *Archipelagu GUŁag* i innych książek rewidujących wizję przeszłości, jaką narzucili lewicy komuniści, rodziła się nowa formuła lewicowości opartej na rozróżnieniu totalitaryzmu i demokracji. W Polsce ten proces również zachodził i doprowadził do powstania silnych ruchów dysydenckich na czele z KOR-em, które walnie przyczyniły się, co dzisiaj z perspektywy ćwierćwiecza wyraźnie widać, do obalenia komunizmu. Zaskakujący dla wielu wybór Słonimskiego, znanego przed wojną antyklerykała, który

pod koniec swego życia związał się z „Tygodnikiem Powszechnym”, był znaczącym symbolem tej ewolucji. Ale historia godzenia się lewicy z kapitalizmem i mieszczańską kulturą to już zupełnie inna historia.

*Dariusz Gawin*

**Szkic pochodzi z książki *Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku* wydanej przez Ośrodek Myśli Politycznej**